

MROŻĄCY KREW W ŻYŁACH THRILLER

Lee Child

LISA

GARDNER

POŻEGNAJ SIĘ

Są rzeczy, których się nie dowiesz,
dopóki ich nie doświadczysz
na własnej skórze.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
SAY GOODBYE

Copyright © 2008 by Lisa Gardner, Inc.
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Copyright © for the Polish translation by Dorota Kaczor 2009, 2011, 2013, 2018,
under exclusive license to „Sonia Draga” Sp. z o.o.,
sublicensed to Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: Stephen Mulcahey/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

Wśród gatunków niebezpiecznych na terenie USA występują między innymi pająki z rodziny wdów oraz pustelników.

Herbert W. i Lorna R. Levi, *Spiders and Their Kin, A Golden Guide*, St. Martin's Press, 2002

JĘCZAŁ CHRAPLIWIE, CORAZ MOCNIEJ ciągnąc ją za włosy. Rozchyliła wargi i silniej przywarła do jego ust. Naparł na nią biodrami i zaczął mamrotać typowe bzdury, jak to chłopcy w takich sytuacjach.

– O Jezu, Jezu. Nie przestawaj. Jesteś taka śliczna. Cudowna. Och, Ginny, Ginny. Słodka Ginny.

Zastanawiała się, czy sam siebie słyszy, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, co mówi. Czy wie, że czasem porównuje ją do świętych, że mówi o niej „boska”, „Miss Georgii”. A raz nawet wypalił, że ją kocha.

Facet w takich chwilach potrafi powiedzieć wszystko.

Drażek zmiany biegów boleśnie wbijał się w jej biodro. Prawą ręką sięgnęła do rozporoka chłopaka i zręcznym ruchem oswobodziła go z dżinsów. Odnalazła, co trzeba, a on wydał z siebie rżężący odgłos, jakby umierał.

– O matko! Ginny. Moja słodka, kochana. Ty mnie normalnie wykończysz, WYKOŃCZYSZ!

Zamknij się, na litość boską, i miejmy to już za sobą, pomyślała.

Jeszcze parę ruchów; trochę mocniej przywrzeć ustami, trochę mocniej popracować ręką i...

Tommy sapał ze szczęścia.

A mała Ginny będzie mogła w końcu odebrać swoją nagrodę.

Opadła z powrotem na siedzenie i nieznacznie odwróciła głowę, żeby nie zauważył, jak ociera usta. Butelka Jim Beama leżała tam, gdzie ją zostawili: walała się pod nogami na podłodze. Ginny podniosła ją, pociągnęła spory łyk i podsunęła Tommy'emu.

Kapitan szkolnej drużyny futbolowej wciąż miał spuszczone spodnie i nieprzytomny wyraz twarzy.

– Ginny, ty naprawdę chcesz mnie wykończyć.

Zaśmiała się, napiła jeszcze raz sama, aż oczy ją zapiekły, ale wmówiła sobie, że to tylko whiskey, nic więcej.

Tommy zaczął się ubierać. Naciągnął majtki, potem dżinsy i na koniec zapiął pasek. Robił to zupełnie naturalnie, bez tego skrępowania, które zwykle czują dziewczęta w takich sytuacjach. Dlatego Ginny woli robić laskę na przednim siedzeniu, niż uprawiać seks na tylnym. Seks zajmuje więcej czasu i wymaga bardziej skomplikowanych zabiegów logistycznych. Z obciążaniem sprawa jest prostsza i przeważnie trwa to krótko.

Teraz Tommy mógł już się napić. Ginny podała mu butelkę i obserwowała, jak podskakuje mu jabłko Adama wystające z kurtki. Przetarł ręką usta i oddał jej butelkę.

– Seks i whiskey. Czego chcieć więcej! – Uśmiechnął się szeroko.

– Nieźle jak na czwartkowy wieczór – przyznała.

Wsunął rękę pod jej bluzkę i ujął pierś. Wyczuł palcami

lewy sutek i zaczął się nim bawić.

– Na pewno nie chcesz...?

Odsunęła jego rękę.

– Nie mogę, muszę wracać. Matka zagroziła, że jak się jeszcze raz spóźnię, nie wpuści mnie do chaty.

– Twoja matka? Przyganiał kocioł garnkowi.

Ginny zignorowała tę uwagę.

– Poza tym nie byłeś czasem umówiony z kumplami? Albo z Darlene? Biedaczka pewnie nie zaśnie, jak nie zobaczy swojego kochasia.

Zacząła pogodnie, lecz skończyła z lekkim sarkazmem. To, że ktoś zna swoje miejsce w szeregu, nie znaczy, że ma być z tego powodu szczęśliwy.

Tommy tymczasem przycichł. Pogładził ją kciukiem po policzku. To był zaskakujący gest z jego strony. Niemal czuły.

– Mam coś dla ciebie. – Cofnął dłoń i poszperał w kieszeni.

Ginny uniosła brwi. Spróbowałby nie mieć. Przecież na tym to polega. Dziewczyna z nizin pieprzy się z bogatym, przystojnym gwiazdorem szkolnej reprezentacji, a on w zamian obdarowuje ją błyskotkami. Bo wszyscy chłopcy mają swoje potrzeby, ale nie wszyscy mogą dostać to, czego chcą, od swoich cnotliwych pańienek.

Tommy spojrzął na Ginny. Gdy po chwili opuściła wzrok na jego wyciągniętą dłoń, ze zdumieniem zobaczyła tam szkolny sygnet.

– Co to ma być?

Gwałtownie się odsunął.

– Wiem, nie spodziewałaś się...

– Darlene wydrapie ci oczy, jak go u mnie zobaczy.

– Darlene już się nie liczy.

– Od kiedy?

– Od soboty, kiedy z nią zerwałem.

– Popieprzyło cię?

Wyraźnie zrzędała mu mina. Widać nie spodziewał się takiej reakcji.

– Ginny, skarbie, ty chyba nie rozumiesz.

– Och, nie bój się, rozumiem. Darlene jest śliczna. Darlene ma superciuchy, pieniądze tatusia i idealnie umalowane usteczka, które, nie daj Boże, mogłyby się rozmazać, gdyby zrobiła dobrze swojemu przystojnemu chłoptasiowi.

– Nie musisz się tak o niej wyrażać – powiedział sztywno Tommy.

– Jak? Że śliczna mała Darlene nie chce połykać? No to wzmówiłeś sobie, że się zakochałeś w pospolitej dziwce Ginny?

– Nie mów tak.

– Czemu, boisz się prawdy? Wiem, kim jestem. Tyle że z nas dwojga to ty masz trociny zamiast mózgu. Poza tym obiecałeś mi złoty łańcuszek!

– A więc tylko o to ci chodziło? O łańcuszek?

– No pewnie.

Przyglądał się jej z zaciśniętymi zębami.

– Wiesz co, Trace mnie przed tobą ostrzegał. Mówił, że potrafisz być podła, masz serce węża. Przekonywałem go, że się myli. Ginny, nie jesteś swoją matką. Mogłabyś... jesteś kimś wyjątkowym. Przynajmniej... – wyprostował się – dla mnie.

Co ci, kurwa, odbiło, człowieku?! Nie mogła już dłużej wytrzymać. Pchnęła drzwi i wyskoczyła z samochodu. Usłyszała, jak Tommy gramoli się z drugiej strony; myślał pewnie, że lepiej będzie, jak ją powstrzyma przed zrobieniem czegoś głupiego.

Parkowali na poboczu leśnej drogi używanej do transportu drewna. Wokół ani żywego ducha, ziemia pod stopami twarda, nierówna. Na początku Ginny odruchowo chciała uciekać. Puścić się pędem w granatową czeluść między wysokimi

sosnami.

Jest młoda i silna. Takie dziewczyny potrafią długo biec. A ona ma w tym wprawę.

– Ginny, porozmawiajmy.

Głos Tommy'ego za plecami. Wciąż żarliwy, ale pozostawiający jej nieco więcej przestrzeni. Litości! Chłopak pewnie zapisał się na kółko poetyckie albo zaczął słuchać Sarah McLachlan czy podobnego gówna. Wszyscy teraz oczekują po innych głębi. Nie rozumieją, że banał upraszcza życie?

Nabrała powietrza w płuca i spojrzała w gwiazdy. Gdy życie podsuwa ci cytryny, rób lemoniadę, przemknęło jej przez głowę. Absurdalność tej myśli sprawiła, że zachciało jej się śmiać. Czy może płakać? Zrobiła więc to, co umiała najlepiej. Zaciśnęła pięści i zaczęła kombinować. Wbrew temu, co ludzie myślą, dziewczyna taka jak ona musi znać swoją wartość.

– Słuchaj, Tommy – powiedziała. – Będę szczerą: totalnie mnie zaskoczyłeś.

– Wiem. Sam siebie też. Nie planowałem tego.

– Będziesz miał nieprzyjemności. Jak zobaczą mnie w szkole z tym sygnetem, zaczną o tobie gadać okropne rzeczy.

– Niech sobie gadają.

– Jeszcze cztery miesiące i skończysz szkołę, wyjedziesz.

Po cholerę ci to?

– Ginny... – zaczął znowu.

Zastłoniła mu usta palcem.

– Wezmę go.

– Serio? – Ucieszył się. Odzyskał nadzieję. Cholerna Sarah McLachlan.

– A przyniosłeś łańcuszek?

– Tak. Na wszelki wypadek wziąłem, ale...

– Daj mi go. Zawieszę na nim sygnet i będę nosiła schowany pod bluzką. To będzie nasza tajemnica, przynajmniej

do zakończenia szkoły. Nie muszę się chwalić całemu światu, że ci na mnie zależy. Dzisiejszy wieczór już i tak... To, co zrobiłeś... – Jej głos znów zaczął zdradzać irytację. Zmusiła się, żeby zakończyć pogodniej: – Ten gest wiele dla mnie znaczy.

Tommy się rozpromienił. Sięgnął do kieszeni i wyjął foliową torebkę z łańcuszkiem. Pewnie kupił go w pierwszym lepszym supermarkecie. Czternaście karatów: zzielenieje jej od tego skóra na szyi.

Szlag by to trafił! I to wszystko za coś takiego?

Wzięła łańcuszek, zawiesiła na nim sygnet i uśmiechnęła się do Tommy'ego.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Nie broniła się. Potem jednak znów zaczął się do niej dobierać; najwyraźniej chciał scementować ich nowy związek szybkim numerkiem w krzakach.

Boże, ależ była zmęczona.

Odepchnęła go z wysiłkiem. Musiała się zmierzyć z osiemdziesięcioma kilogramami chodzącego testosteronu.

– Tommy – wysapała. – Nie mogę się spóźnić, zapomniałeś? Dostanę szlaban i co? Od tego mamy zacząć nasz nowy związek?

Na rumianej twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

– No tak, masz rację. Ale, Chryste, Ginny...

– Dobra, dobra. Wskakuj do auta, przystojniaku. Zobaczymy, jak szybko umiesz jeździć.

Tommy umiał jeździć bardzo szybko, ale nim dotarli pod dom Ginny, i tak było już po jedenastej. Na ganku paliło się światło, lecz franki nawet nie drgnęły.

Może matka wyszła i nie dowie się o spóźnieniu? Ginny miała ciężki dzień i wolałaby uniknąć kłótni.

Tommy chciał zaczekać, aż dziewczyna znajdzie się bezpiecznie w środku. Przekonała go, że to tylko pogorszy

sprawę; mama może wyjść i zrobić awanturę. Nalegał. Zabrawszy jej cenne pięć minut, w końcu zrezygnował.

Mój bohater, pomyślała z ironią i odwróciła się w stronę domu.

Szary i skromny, nie miał nawet trawnika. Nijaki na zewnątrz, jeszcze bardziej nijaki w środku. Ale co tam, przynajmniej prawdziwy dom, a nie przyczepa. Bo kiedyś Ginny miała tatę. To był wysoki i przystojny mężczyzna o donośnym, tubalnym śmiechu; codziennie po powrocie z pracy brał ją na ręce i podrzucał.

Pewnego dnia zginął. Wracał samochodem od klienta, któremu remontował mieszkanie, i wpadł w poślizg na oblodzonej drodze. Ten dom został kupiony za pieniądze z ubezpieczenia.

Matka musiała się imać różnych zajęć, żeby utrzymać rodzinę.

Ginny szarpnęła za klamkę. Frontowe drzwi były zamknięte. Wzruszyła ramionami i poszła sprawdzić tylne. Te też były zamknięte. Spróbowała uchylić okna, choć z góry wiedziała, że się nie otworzą. Matka lubiła szczelnie się zamykać. Ta dzielnica może kiedyś należała do porządných, ale to było dziesięć lat temu; mieszkający tu wtedy ludzie należeli do innej warstwy społecznej.

Zapukała do drzwi. Nacisnęła dzwonek. Nawet nie zadrżała firanka.

A więc mama dotrzymała słowa. Mama, która była przekonana, że gdyby Ginny tylko wzięła się za siebie, mogłaby coś osiągnąć, zamknęła przed nią drzwi na noc.

Chrzanić to. Pójdzie się przejść. Może za godzinę lub dwie matka stwierdzi, że córka już dostała wystarczającą nauczkę.

Szła pogrążoną w mroku ulicą, mijając następne tak samo ciasne domy. Ci ludzie kiedyś mieli pracę. Teraz wielu z nich

nie miało z czego żyć.

Gdy przechodziła obok skrzyżowania z wiejską szosą, minął ją duży czarny SUV. Dwadzieścia metrów dalej rozbłysły czerwone tylne światła i auto zatrzymało się z piskiem opon. Z okna wychyliła się głowa. Było ciemno, więc widziała tylko zarys czapki z daszkiem.

– Może podwieźć? – spytał ktoś głębokim barytonem.

Ginny nie zastanawiała się długo. Auto wyglądało na drodze, głos budził zaufanie. Może wieczór nie jest jeszcze stracony.

ZROZUMIAŁA SWÓJ BŁĄD PIĘĆ minut później. Najpierw wsiadła do przestronnego wozu i dotknęła ręką miękkiego skórzanego siedzenia. Chichocząc zalotnie, powiedziała kierowcy, szczupłemu mężczyźnie w średnim wieku, że zabrakło jej benzyny w aucie, i spytała, czy w związku z tym nie mógłby jej podzucić kilka ulic dalej.

Kierowca niewiele mówił. Skręcił tylko w lewo, w prawo, a potem nagle się zatrzymał na zapleczu ogromnego magazynu samoobsługowego i wyłączył silnik.

Wtedy Ginny poczuła ciarki na plecach. Kiedy jesteś pierwszy raz z obcym facetem, zawsze pojawia się ten moment strachu. Szybko się jednak reflektujesz, że nie ma się czego bać, bo taki dupek nie odbierze ci przecież nic, czego byś dawno nie straciła.

Ale on nagle się odwrócił i Ginny ujrzała przed sobą ponurą twarz bez wyrazu. Mocna, kwadratowa szczęka, zaciśnięte usta, czarne czeluście oczu.

I wtedy, zupełnie jakby przewidywał jej reakcję, jakby chciał się nasycić widokiem jej miny, powolutku odchylił daszek czapki i pokazał czoło.

Ginny zacisnęła w kieszeni dłoń na sygnecie Tommy'ego. Jedno spojrzenie na to, co ten człowiek sobie zrobił, uświadomiło jej kilka rzeczy naraz: matka już nie będzie musiała wymyślać dla niej kar, a napalony Tommy oszczędzi sobie wstydu przed kolegami.

Ponieważ nie było mowy, żeby ten mężczyzna kiedykolwiek pozwolił jej wrócić do domu.

Niektóre dziewczyny mają spryt, inne krzepę, jeszcze inne są szybkie. A Ginny, biedna Ginny, już cztery lata temu, gdy narzeczony jej matki po raz pierwszy wszedł do jej pokoju, nauczyła się, że może ocalić skórę tylko w jeden sposób.

– No dobra – rzuciła. – Przejdźmy do rzeczy: ty mi powiesz dokładnie, co mam ci zrobić, a ja tymczasem zacznę się rozbierać.

Rozdział 1

O TYM NIKT CI nie OPOWIE, POZNASZ to dopiero wtedy, gdy tego doświadczysz na własnej skórze.

Boli tylko kilka pierwszych razów. Krzyczysz. Nie możesz przestać, aż zaczyna cię drapać w gardle, puchną oczy, a w ustach czujesz dziwny smak, jakby wymieszane ze sobą żółć, wymioty i łzy. Wołasz mamę. Modlisz się do Boga. Nie rozumiesz, co się dzieje. Nie możesz w to uwierzyć.

Ale to się dzieje naprawdę.

Więc po jakimś czasie milkniesz.

Groza nie trwa wiecznie. Nie można cały czas się bać. Nie da się. To wymaga za dużo energii. Strach tak naprawdę pojawia się tylko w obliczu nieznanego, ale kiedy coś się dzieje dostatecznie często, systematycznie jesteś bity, gwałcony, zastraszany, to już nie jest dla ciebie nieznanne, prawda? Zachowania, które kiedyś cię szokowały, krzywdziły, zawstydzwały, stają się normą. Tak teraz wygląda twoja codzienność. To jest twoje nowe życie.

Stałeś się okazem w kolekcji.

Rozdział 2

Pająki stale się rozglądają za ofiarą, ale same też są celem drapieżników. Sprytnie kryjówki i sposoby maskowania się pozwalają im unikać kłopotów.

Herbert W. i Lorna R. Levi, *Spiders and Their Kin, A Golden Guide*, St. Martin's Press, 2002

– MAMY PROBLEM.

– Co ty powiesz? Masowa produkcja metamfetaminy, dalsze ubożenie klasy średniej, że nie wspomnę o całej awanturze wokół globalnego ocieplenia...

– Nie, nie, nie. Mówię serio.

Kimberly westchnęła. Od trzech dni prowadzili oględziny miejsca katastrofy samolotu. Zdążyła się już znieczulić na smród paliwa lotniczego i swąd zwęglonych ciał. Była przemarznięta, odwodniona, a do tego złapała ją kolka. W tej sytuacji musiałoby się zdarzyć coś naprawdę ważnego, żeby uznała to za problem.

Dopiła resztę wody z butelki, odwróciła się plecami do miasteczka namiotowego, mieszczącego obecnie centrum dowodzenia, i spojrzała na kolegę z ekipy.

– Dobra, Harold. Mów, co się stało.

– Musisz to zobaczyć na własne oczy.

Nie czekając na jej odpowiedź, ruszył truchtem przed siebie. Kimberly nie miała wyboru – pobiegła za nim. Poruszali się po zewnętrznym obwodzie ogrodzonego taśmą terenu, który kiedyś był sielską łąką otoczoną gęstym lasem. Teraz połowa drzew miała poćcinane czubki, a w ziemi widniała długa i głęboka wyrwa zakończona kupą złomu, składającą się z nadpalonego kadłuba samolotu, pogiętego prawego skrzydła i zgniecionego traktora.

Zbieranie śladów na miejscach wypadków lotniczych to szczególnie brudna robota. Obszar oględzin jest zwykle rozległy, najezony pułapkami w postaci sterczących kawałków metalu i rozbitego szkła. Istnieje też zagrożenie biologiczne. To może przytłoczyć nawet najwytrawniejszego agenta. Trzeciego dnia po południu ekipa Kimberly mogła już zakończyć pierwszy, najgorszy etap, kiedy to nie wiadomo, w co włożyły ręce, i rozpocząć proces dokumentowania zabezpieczonych śladów, ciesząc się perspektywą zjedzenia nazajutrz kolacji we własnym domu. Zużywano mniej tabletek od bólu głowy, a przerwy na lunch były coraz dłuższe.

Tym bardziej nie wiadomo, po co Harold odciągał ją teraz od centrum dowodzenia, szumu generatora, gwaru dziesiątków techników pracujących na rumowisku.

Cały czas biegł prosto przed siebie. Pięćdziesiąt, sto, trzysta metrów...

– Harold, co jest grane?

– Jeszcze z pięć minut. Wytrzymaj.

Przyśpieszył kroku. Kimberly, która nigdy się nie poddawała, zacisnęła zęby i dzielnie podążała za nim. Dotarli na skraj zagrodzonego terenu i Harold skręcił prosto w mały zagajnik, gdzie wszystko się zaczęło. Zbielałe kikuty drzew wbijały się w pochmurne zimowe niebo.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego...
- Aha.
- ...bo jeśli chcesz mi pokazać jakiś wyjątkowo rzadki mech albo zagrożony gatunek trawy, to cię zabiję.
- Nie wątpię.

Wskoczył między połamane drzewa i zaczął kluczyć w gęstych zaroślach. Gdy się wreszcie zatrzymał, Kimberly o mało na niego nie wpadła.

- Spójrz w górę – powiedział.
- Kimberly zadarła głowę.
- O cholera. Mamy problem.

AGENTKA SPECJALNA FBI KIMBERLY Quincy miała wszystko: urodę, inteligencję i dobre geny – była córką legendarnego specjalisty od sporządzania portretów psychologicznych zbrodniarzy, człowieka, którego w Akademii w Quantico stawiano na równi z takimi sławami jak Douglas i Ressler. Miała włosy do ramion w kolorze ciemnoblond, niebieskie oczy i szlachetne rysy twarzy – spadek po zmarłej matce, stanowiącej źródło plotek, od których nie uwolni się do końca swojej kariery.

Szczupła, wysportowana, wysoka na metr siedemdziesiąt Kimberly była znana z wytrzymałości fizycznej, biegłości w posługiwaniu się bronią oraz silnej niechęci do bezpośredniego kontaktu fizycznego. Nie należała do osób, które lubi się od pierwszej chwili, ale z pewnością wzbudzała szacunek.

Rozpocząła właśnie czwarty rok służby w biurze terenowym FBI w Atlancie. Nareszcie przydzielono ją do Wydziału Kryminalnego i mianowano szefową jednego

z trzech miejscowych zespołów ERT*. Kariera Kimberly rozwijała się więc pomyślnie, przynajmniej do momentu, kiedy pięć miesięcy temu musiała nieco zwolnić. Właściwie dalej pracowała normalnie, tylko przestała chodzić na treningi strzeleckie. Dzisiejsze FBI chce być postrzegane jako nowoczesna instytucja, stąd duży nacisk na kwestie związane z równouprawieniem, wyrównywaniem szans i tak dalej. Koledzy Kimberly ujmowali to inaczej: to już nie jest Biuro jej ojca. Tamto przeszło do historii.

Teraz jednak Kimberly miała na głowie większe problemy. Choćby ludzką nogę zwisającą z olbrzymiego krzewu rododendronu, prawie cztery metry poza granicą obszaru oględzin.

– Jak w ogóle to zauważyłeś? – spytała Harolda Fostera, kiedy pośpiesznie wracali do centrum dowodzenia.

– Dzięki ptakom – odparł. – Widziałem co chwila, jak całe stado podrywa się znad tego zagajnika. Pomyślałem, że w pobliżu musi być jakiś drapieżnik. Ale co mogło przyciągnąć drapieżnika w takie miejsce? No i wtedy... – Wzruszył ramionami. – Wiesz, jak to jest...

Kimberly pokiwała głową, choć jako dziewczyna dorastająca w mieście nie bardzo wiedziała. Harold wychowywał się w górskiej chacie i przez jakiś czas był pracownikiem służby leśnej. Potrafił wytropić rysia, zdjąć skórę z jelenia i przewidzieć pogodę na podstawie obserwacji mchu na drzewach. Ze wzrostem metr osiemdziesiąt pięć i wagą siedemdziesięciu paru kilogramów przypominał bardziej słup telegraficzny niż drwa, ale trzydzieści kilometrów to dla niego spacer.

*Evidence Response Team – specjalna jednostka FBI złożona z agentów, ekspertów i techników kryminalistycznych, zajmująca się zabezpieczaniem śladów na miejscu zdarzenia.

Podczas obławy na Erica Rudolpha, zamachowca z wioski olimpijskiej w Atlancie, pierwszy dotarł do jego kryjówki – reszta ekipy jeszcze przez godzinę wdrapywała się po gęsto zalesionym zboczu o nachyleniu czterdziestu pięciu stopni.

- Powiesz Rachel? – spytał. – Czy ja mam to zrobić?
- Śmiało, przecież to twoja zasługa.
- Nie, nie, ty tu dowodzisz. Poza tym tobie się nie oberwie.

Niepotrzebnie zaakcentował ostatnie zdanie. Kimberly zrozumiała, o co chodzi. Oczywiście miał rację.

Pomasowała sobie bok i udała, że jej to nie uraziło.

WSZYSTKO ZACZEŁO SIĘ W sobotę, kiedy o 6.05 z lotniska w Charlotte w Karolinie Północnej wystartował boeing 727 z trzyosobową załogą i ładunkiem poczty na pokładzie. Miał wylądować w Atlancie o 7.20. Było wilgotno i mgliście, występowało ryzyko oblodzenia.

Co dokładnie się wydarzyło, ustali NTSB*. Na razie wiadomo, że tuż po 7.15 podczas podchodzenia do lądowania samolot obniżył pułap, zahaczył prawym skrzydłem o drzewa, przechylił się i spadł na pole farmera, przygniatając kombajn, dwa pick-upy i traktor. Na wszystkie strony poleciały metalowe odłamki – maszyna sunęła jeszcze sto metrów, po czym stanęła w płomieniach.

Zanim przyjechały straże i pogotowie, załoga już nie żyła. Na półtorakilometrowym rumowisku leżały szczątki ciał trzech osób, jeden roztrzaskany samolot, wraki sprzętu rolniczego oraz mnóstwo przesyłek US Mail. Na miejscu katastrofy pojawili się eksperci z NTSB. W ramach porozumienia między

*National Transportation Safety Board – Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu.

tą organizacją a FBI do pomocy przy zabezpieczaniu śladów zmobilizowano wszystkie trzy ekipy ERT z Atlanty.

Pierwszą czynnością, jaką wykonała agentka koordynatorka akcji, Rachel Childs, było wyznaczenie obszaru miejsca katastrofy. W przypadku zamachów bombowych i katastrof lotniczych z reguły granice takiego terenu wytycza się w odległości około pięćdziesięciu procent większej, niż wynosi odległość od miejsca głównej eksplozji do najdalej ujawnionego śladu. Jeżeli więc jakiś ślad odnaleziono sto metrów od eksplozji, granicę wyznaczano na sto pięćdziesiątym metrze. Tutaj obszar do zbadania miał cztery kilometry długości i jeden kilometr szerokości. Zdecydowanie nie było to typowe miejsce zbrodni z filmów kryminalnych, z obrysem zwłok na podłodze.

Do jego zbadania idealnie nadawała się najnowsza zabawka FBI: tachimetr.

Ten nieco zmodyfikowany przyrząd geodezyjny, używany między innymi przez drogowców, to coś w rodzaju pistoletu z laserowym celownikiem i specjalnym oprogramowaniem. Gromadzenie danych rozpoczyna naciśnięcie spustu – urządzenie generuje trójwymiarowe modele, które śledczy mogą obejrzeć pod koniec każdej zmiany.

Cała procedura była względnie prosta, choć pracochłonna. Najpierw dziesiątki techników wkraczało na wyznaczony obszar i dokonywało oględzin. Oznaczali i klasyfikowali każdy znaleziony ślad (części samolotu, ludzkie szczątki, rzeczy osobiste). Potem jedna wyznaczona osoba wbijała przy każdym przedmiocie tyczkę ze szklanym odbłyśnikiem. Na koniec operator przyrządu namierzał cel i naciskał spust, wprowadzając tym samym do bazy dane o położeniu śladów odkrytych w odległości nawet pięciu kilometrów od miejsca zdarzenia. Operację nadzorował obserwator, który wszystkie znaleziska opisywał i numerował.

Ciężka praca przyniosła efekty i wkrótce chaotyczne rumowisko odworowanowczytelnym modelem komputerowym, który mógł zadowolić największego pedanta i służbistę, a Kimberly bez wątpienia do takich należała. Z reguły wołała wbijać tyczki, lecz tym razem musiała się zadowolić funkcją archiwistki.

Kimberly dostrzegła grupkę osób w białych koszulach i granatowych garniturach (oficjele z NTSB pochyleni nad planami boeinga 727), potem morze turkusu (technicy kryminalistyczni ubrani w kombinezony ochronne) i wreszcie kasztanową czuprynę nadzorującej całą akcję chorobliwej perfekcjonistki Rachel Childs.

Kimberly i Harold schylili się i przeszli pod żółtą taśmą.

– Powodzenia – szepnął Harold.

AGENTKA SPECJALNA CHILDS MIAŁA ZOSTAĆ SŁYNNĄ CHICAGOWSKĄ ARCHITEKTKĄ. W ostatniej chwili postanowiła jednak wstąpić do FBI. Trafiła do pracy jako asystentka jednego z najlepszych w Chicago ekspertów kryminalistycznych i odkryła swoje życiowe powołanie. Jej dokładność, umiejętność rysowania w skali i zamiłowanie do pracy papierkowej okazały się bardziej przydatne w zabezpieczaniu i dokumentowaniu śladów niż w przygotowywaniu planów upiększania krajobrazu Chicago.

To było piętnaście lat temu – Rachel nigdy nie żałowała swojej decyzji. Przy wzroście niewiele ponad metr pięćdziesiąt i wadze czterdziestu siedmiu kilogramów wyglądała teraz jak mała wścicka Nancy Drew, która za chwilę popełni pierwsze w życiu morderstwo.

– Jak mogłeś, do ciężkiej cholery, przeoczyć coś tak dużego jak ludzka noga?! – wrzasnęła.

Odeszli na bok, we względnie ustronne miejsce obok

szumiącego generatora. Rachel nigdy nie sztorcowała podwładnych publicznie. Ci ludzie byli dla niej jak rodzina. Mogła uważać, że są partaczami, i nawet im to powiedzieć prosto w oczy, ale nikomu nic do tego.

– No wiesz, wisi na krzaku, pod drzewem – odezwał się w końcu Harold. – Nie tak łatwo ją dostrzec.

– Jest luty, liście z drzew dawno opadły. Powinna być widoczna.

– To las sosnowy – wtrąciła Kimberly. – Harold zaprowadził mnie prosto w to miejsce i gdyby nie pokazał palcem, nic bym nie dostrzegła. Szczerze mówiąc, podziwiam go, że cokolwiek zauważył.

Obdarzył ją spojrzeniem pełnym wdzięczności. Wzruszyła ramionami. Miał rację, szefowa nic jej nie zrobi.

– Cholera – mruknęła Rachel. – Jesteśmy tu trzeci dzień, powinniśmy związać manatki, a nie zaczynać wszystko od nowa. Żeby taki głupi błąd...

– Zdarza się – przerwała jej Kimberly. – Pamiętasz zamach w Oklahoma City albo katastrofę w Nashville? Aż dziw, że w ogóle udaje nam się to jakoś ogarnąć.

– Jednak...

– Poszerzymy obszar. Skupimy się na zachodnim sektorze. Zajmie to dodatkowy dzień, ale może okaże się, że ta noga to wszystko, co przeoczyliśmy.

Rachel nagle zmarszczyła brwi.

– Czekaj. Jesteście pewni, że to ludzka noga?

– Widziałem już parę w życiu – odparł Harold.

– Ja też – dodała Kimberly.

Rachel złapała się za głowę.

– Jasny gwint! Przecież mamy ciała wszystkich ofiar, nic nie brakuje! Rano z nienaruszonego kokpitu wyciągnęliśmy kompletne szczątki trzech osób. Nadzorowałam tę operację,

więc wiem na pewno, że było sześć nóg.

Harold łypnął na Kimberly.

– Mówiłem ci, że mamy problem.

ZABRALI ZE SOBĄ APARAT CYFROWY, latarki, rękawiczki, grabie i płachtę na zwłoki. Rachel chciała obejrzyć znalezisko. A nuż się okaże, że to tylko strzęp tkaniny albo część naturalnej wielkości manekina. Albo jeszcze lepiej: tylna noga jelenia, którą jakiś myśliwy dla żartu ubrał w ciuchy. To Georgia, tu się zdarzały dziwniejsze rzeczy.

Do zapadnięcia zmroku zostały tylko dwie godziny, więc musieli się śpieszyć.

Najpierw przeczesali podłoże, by się upewnić, że nie depczą po czymś ważnym. Potem Harold i Kimberly skierowali światła latarek na wiszącą w gąszczu nogę. Rachel obfotografowała ją ze wszystkich stron. Następnie w ruch poszły taśma miernicza i kompas. Zanotowali przybliżone wymiary krzewu rododendronu, jego położenie względem najbliższego punktu odniesienia oraz odległość od granicy obszaru oględzin.

Na koniec, kiedy udokumentowali już wszystko prócz pohukiwania sowy i zimnego powiewu wiatru, który jeżył im włoski na karku, Harold za pomocą grabi ostrożnie zdjął znalezisko i ułożył je na kwadracie niebieskiego plastiku, który rozpostarła Rachel. Pochylili się nad nim.

– Niech to szlag – mruknęła Rachel.

Z pewnością była to ludzka noga, odcięta powyżej kolana. Stercząca kość udowa lśniła bielą na tle płachty. Sądząc po wielkości, prawdopodobnie należała do mężczyzny ubranego w dżinsy.

– Jesteś pewna, że wszystkie trzy ciała były nienaruszone?

– spytała Kimberly. Tym razem nie brała udziału w zbieraniu

śladów. Próbowwała sobie wmówić, że jej to nie zirykowało, ale nie było to prawdą. Zwłaszcza kiedy okazało się, że przeoczono coś tak ważnego. – Kokpit spłonął prawie doszczętnie, stan zwłok chyba nie był najlepszy.

– Kokpit oderwał się od kadłuba. Był nadpalony, ale nie zniszczony. Nie wylało się na niego aż tyle paliwa.

– Ten gość to nie pilot – stwierdził Harold. – Oni nie chodzą w dżinsach.

– Farmer? Pracownik rolny? – zastanawiała się Kimberly.
– Może kiedy samolot spadł na traktor... – Ale zaraz sobie przypomniała, że właściciel pola już się zgłosił, żeby zidentyfikować wraki maszyn i pożalić się nad stratą. Gdyby zginął jego pracownik, coś by o tym wiedzieli.

– Ja tego nie łąpię. – Rachel cofnęła się kilka kroków i rozejrzała po lesie. – Jesteśmy teraz w miejscu, gdzie samolot pierwszy raz zahaczył o drzewa. Spójrzcie. – Wskazała na ostre białe wierzchołki ściętych sosen dwadzieścia metrów na południe. – Prawe skrzydło zostaje ściągnięte w dół, samolot się przechyla, pilot koryguje położenie, ale widocznie przeciąga, bo sto metrów stąd – obróciła się, pokazując na jakiś odległy, niewidoczny cel – mamy głęboką wyrwę na skraju pola, tak jakby lewe skrzydło zaryło w ziemię...

– ...ostatecznie obracając samolotem – dokończyła Kimberly. – A to znaczy, że w tym momencie, w tym miejscu...

– ...samolot jeszcze się nie obrócił, więc nikt z niego nie mógł wypaść. No bo pomyślcie: kokpit jest półtora kilometra stąd. Nawet gdyby ten cholerny samolot wybuchł, a wiemy, że tak się nie stało, skąd niby wzięłaby się tutaj ludzka noga bez śladów oparzeń?

Harold chodził wkoło, wpatrując się w ziemię. Kimberly cofnęła się, zadarła głowę i spojrzała między drzewa.

Traf chciał, że to ona pierwsza je zauważyła. Zaledwie

pięć metrów dalej, niemal na wysokości oczu. Aż dziw, że nie krzyknęła. Zaalarmował ją zapach. Ostry, drażniący. Zobaczyła błysnięcie pomarańczowego odbłasku. Potem następne, i jeszcze jedno. Aż w końcu...

Brakowało głowy. I lewej ręki, i nogi. Został tylko dziwny, zgięty w pół kształt zwisający z gałęzi.

– Coś czuję, że nie wrócimy jutro do domu – powiedziała. Harold i Rachel podeszli do niej.

– Myśliwy? – spytała z powątpiewaniem Rachel. – Przecież sezon na jelenie skończył się parę miesięcy temu.

– Dopiero w styczniu – sprostował Harold. – Ale na drobną zwierzynę można polować do końca lutego. Poza tym są dziki, aligatory. To Georgia, tutaj zawsze coś można ustrzelić.

– Biedaczek – mruknęła Kimberly. – Czujecie to? Siedzisz sobie na drzewie, wypatrujesz jakiegoś...

– ...oposa, głuszca, przepiórki, wiewiórki, królika – dokończył Harold.

– I nagle wielki boeing urywa ci głowę. Spodziewałbyś się?

– Na każdego przychodzi jego czas.

Rachel ciągle była wściekła, ale westchnęła po raz ostatni i wzięła się w garść.

– No dobra. Za godzinę zrobi się ciemno. Nie traćmy czasu.

JAK SIĘ OKAZAŁO, NTSB NIE BYŁA zainteresowana jakąś nogą znaną w lesie. W lotniczym świecie martwy myśliwy zalicza się do przypadkowych ofiar; FBI może go sobie wziąć.

Rachel wykonała parę telefonów; zamówiła nowy samochód ze sprzętem i dostatecznie dużą liczbę doświadczonych agentów i ochotników z policji potrzebnych do przeczesań terenu. Po kwadransie w lesie zgromadziła się

spora grupa funkcjonariuszy z lokalnych posterunków oraz agentów federalnych. Harold wręczył każdemu cienką sondę i poinstruował o konieczności patrzenia zarówno w dół, jak i w górę. Sam zajął się pilnowaniem, by grupa posuwała się naprzód w jednym szeregu, co jest niełatwe w takim terenie.

Miejscowy szeryf poinformował, że rano zgłoszono zaginięcie niejakiego Ronalda „Ronniego” Danversa. Dwudziestoletni Ronnie trzy dni temu wybrał się na polowanie. Kiedy nie wrócił do domu, jego dziewczyna pomyślała, że pewnie nocuje u znajomych. Dzisiaj, gdy do nich zadzwoniła, żeby mu zrobić awanturę, zrozumiała swój błąd.

– Dopiero po trzech dniach zorientowała się, że zaginął? – odezwał się agent Tony Coble. – Wielka mi miłość!

– Chyba mieli jakieś problemy – powiedział Harold. – Dziewczyna jest w ciąży i najwyraźniej miewa humory.

Mówiąc to, specjalnie starał się nie patrzeć na Kimberly, ale oczywiście wszyscy pozostali spojrzeli.

– No co? Ja nie mam humorów – rzuciła. – Zawsze byłam wredna. – Ucisk w lewym boku wreszcie ustąpił, pozostawiając inne, wciąż jeszcze nowe i niezwykle dla niej uczucie, jakby delikatną czkawkę wyczuwalną pod żebrami. Odruchowo położyła dłoń na brzuchu – wybitnie matczynej gest – ale nie mogła się powstrzymać.

Koledzy z ekipy patrzyli na nią z szerokimi uśmiechami. W biurze przypięli jej na ścianie bociana, a w zeszłym tygodniu zostawili na biurku tackę na dokumenty wypełnioną smoczkami; znalazła ją, kiedy wróciła z lunchu. Agenci podobno są twardzielami, ale od jakiegoś czasu wystarczyło, że głośniej westchnęła, a już któryś leciał po wodę, krzesło, kiszzonego ogórka. Banda mięczaków. Uwielbiała ich, każdego bez wyjątku. Nawet tego mądrąłę Harolda.

– Słuchajcie – odezwała się Rachel. – Myśleliśmy, że dziś

wieczorem uda nam się zwinąć ten bajzel i wrócić do domu, a tym, którzy rzadko tam docierają, przynajmniej wpaść do biura, żeby odrobić zaległości. Niestety, nic z tego. Mamy tylko godzinę, najwyżej dwie. Zrobimy mapkę, pozbieramy ślady, a dokumentację dokończymy w centrum dowodzenia. Innymi słowy, możecie mi podziękować, że znów zapewniłam wam wieczór pełen rozrywek.

Rozległ się zbiorowy jęk.

Rachel tylko się uśmiechnęła.

– Dobra, dobra, panowie. Znajdźcie mi głowę Ronniego.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).